

RYSZARD LEGUTKO

Nie lubię tolerancji

(esej ze zbioru pt. „nie lubię tolerancji”, wydawnictwo ARKA, 1993)

Przez cztery dziesięciolecia rządziły nami rozmaite nie lubiane przez nas słowa, takie jak „klasowy”, „socjalistyczny”, „postępowy” itd. Obecnie sytuacja się zmieniła i zaczynają swoje rządy słowa, których nikt nam nie narzucił siłą i które wydają się wzbudzać niemal powszechną sympatię. Piszę „niemal”, bo są wyjątki, do których i ja się zaliczam. Pewnych słów szczerze nie lubię, a za najbardziej antypatyczne uważam „tolerancję” i „prawa człowieka”.

Od pewnego czasu rozmaici uczeni i szlachetni ludzie w naszym kraju każą mi być tolerancyjnym. Dopóki rzecz była na poziomie ogólnych deklaracji, a więc dopóki nie było jasne, czego naprawdę wymagają oni ode mnie, nie protestowałem. Wydawało mi się, że mówiąc o tolerancji mieli oni na myśli pewne dość oczywiste znaczenie, które pozwolę sobie krótko wyjaśnić. Przypuśćmy, że między mną a moim kolegą z pracy stosunki układają się źle, nie możemy dojść do porozumienia w żadnej kwestii, a żaden z nas nie jest skłonny do ustępstw. Jedyne co nam wtedy pozostaje — o ile nie chcemy zaostrzać konfliktu i dążyć do wzajemnego usunięcia z pracy—to tolerowanie siebie. Oznacza to, iż uznaję fakt całkowitego rozmijania się naszych opinii, ale dla świętego spokoju i z braku możliwej korzystniejszej alternatywy decyduję się na niewchodzenie w drogę swojemu adwersarzowi i oczekuję tego samego od niego. Być może okaże się, że istnieją pewne rzeczy, które nas łączą poza miejscem pracy, na przykład kolekcjonowanie znaczków, i wtedy będę mógł bez wewnętrznych oporów spotykać się z nim w Stowarzyszeniu Filatelistycznym i działać wspólnie w jego ramach.

To proste przestanie stanowi istotę tolerancji. Nie tylko nie odrzucam go, ale twierdzę — w czym nie jestem specjalnie oryginalny — że jest ono jednym z ważniejszych osiągnięć praktyki politycznej cywilizacji zachodniej (choć nie pozbawionym pewnych wad), bez którego jakakolwiek struktura polityczna jest niemożliwa. Gdy po wojnach religijnych zwaśnione grupy zdecydowały się na tolerancję, przyjęły one właśnie taką zasadę. Ponieważ nie ma szansy na wypracowanie wspólnego stanowiska, znośmy swoją obecność, nie wchodźmy sobie w drogę i starajmy się współpracować tam, gdzie to jest możliwe, a więc poza obszarem głównego sporu. W ten sposób Żydzi nie będą na siłę chrystianizowani, katolicy islamizowani, a muzułmanie judaizowani, natomiast wszyscy będą mogli dogadać się na przykład co do wspólnych zasad polityki podatkowej.

Ale współcześni nauczyciele tolerancji nie o takiej postawie mówią, gdyż uważają ją za niewystarczającą, czy wręcz za mało tolerancyjną. W jednym z ogólnopolskich dzienników dwie panie przeprowadziły niedawno długą rozmowę na ten temat i orzekły, że właściwa tolerancja to „życzliwa otwartość”. Gdy więc jestem tolerancyjny wobec, powiedzmy homoseksualistów, oznacza to, że nie tylko nie próbuję zmienić ich preferencji seksualnych (uznając, że jest to niemożliwe), nie tylko współpracuję z nimi w dziedzinach pozaerotycznych (jeżeli zachodzi taka potrzeba), ale nadto życzliwie odnoszę się do ich homoseksualizmu przyznając, że „coś jest na rzeczy”. Otóż taki rodzaj tolerancji odrzucam i uważam za postawę generalnie szkodliwa.

No bo — zastanówmy się — czemu właściwie miałbym być „życzliwie otwarty”? Ponieważ homoseksualiści są inni niż reszta i stanowią mniejszość — pada odpowiedź. Pytajmy dalej czy wobec innych mniejszości mam być również „życzliwie otwarty”? Zwolennicy tolerancji odpowiedzą oczywiście twierdząco. Wobec sodomitów i transwestytów? Jasne. Tak samo jak wobec innych wyznań, narodowości, grup etnicznych, ras, kultur, poglądów na życie. W innym numerze tego samego dziennika pewien autor rozszerza naszą listę dodając do niej „rockersów, hippisów, gitowców, sekty religijne i mistyczne, poppersów, punków, rastafarian, metalowców, satanistów, (...) anarchistów, aidsowców i skinheadów”.

Ale zauważmy: im dłuższa lista, tym sytuacja człowieka tolerancyjnego staje się bardziej nieznośna. Okaże się szybko, że nie może on wypowiedzieć żadnego, sądu wartościującego nie narażając na szwank „życzliwej otwartości” w stosunku do jakiejś grupy. Żart o „pedałach” doszczętnie go skompromituje; użycie słowa „zбочenie” wyrzuci go poza obręb społeczności

cywilizowanej; zżymanie się na nachalne Cyganki na Plantach narazi go na zarzut szowinizmu; pogardliwa wypowiedź o gitowcach etc., dowiedzie jego ślepoty na fakt, że (cytując wzmiankowanego powyżej autora) „to, co młodzież wnosi do dorobku kultury światowej, jest odżywcze, wartościowe i potrzebne”, gdy popełni w towarzystwie tę gafę, że przedstawi się jako katolik, powinien natychmiast dodać, że jest życzliwie nastawiony do religii Wschodu i innych wyznań. Życie w tak rozumianej tolerancji nie staje się łatwiejsze (jak w przypadku pierwszego znaczenia tego słowa), ale trudniejsze. W Stanach Zjednoczonych i innych krajach zachodnich rozwiniętej tolerancji za niektóre wypowiedzi jest się bezwzględnie ostracyzowanym. Jeden z najbardziej popularnych dziennikarzy sieci CBS został zawieszony za wypowiedź o homoseksualizmie, którą zainteresowani uznali za obraźliwą i nie wrócił na antenę, aż ich publicznie nie przeprosił. W pewnych środowiskach uniwersyteckich jest nie do pomyślenia używanie języka „maskulinistycznego” dyskryminującego kobiety (kto powie *chairman* zamiast *chairperson* narazi się na to, że uczestnicy opuszczą salę w proteście przeciw nietolerancji). Testy na inteligencję, pokazujące statystyczne różnice między wynikami w szkole różnych grup, bywają piętnowane jako wyraz pogardy (a więc braku życzliwej otwartości) białej kultury w stosunku do czarnej.

Człowiek tolerancyjny jest nie tylko otwarty na inne kultury, z którymi się styka, choćby pośrednio, ale także na te, o których nie ma zielonego pojęcia, lecz za to jest pewien, że jakiegokolwiek by nie były, to na pewno warto się na nie otwierać. Choćby nie potrafił wymienić ani jednego nazwiska pisarza afrykańskiego, będzie przysięgał, że nie wolno deprecjonować literatury czarnej Afryki. Jeżeli nie wiesz o niej wiele — powie on człowiekowi nietolerancyjnemu — skąd pewność, iż jest gorsza od europejskiej? Na to jest odpowiedź, jakiej w podobnym kontekście udzielił Saul Bellow, wybitny pisarz amerykański: jeżeli mieliby oni jakiegoś Tolstoja, to na pewno o nim słyszelibyśmy. Odpowiedź ta, zbyteczne dodawać, została przez obrońców tolerancji potraktowana jako skrajnie rasistowska.

Wydawałoby się, że człowiek tolerancyjny jest całkowicie pusty, bo pozbawiony jakichkolwiek trwałych przekonań: potrafi wszak tylko pełnić funkcje cenzora, wykazując innym, że są za mało otwarci, czyniąc tysiące zastrzeżeń wobec własnego światopoglądu, tak żeby przypadkiem nie być posądzonym o brak otwartości. Tu zauważmy w dygresji, że owa funkcja cenzorska jest zawsze jednostronna: będzie on pouczał starych, że nie traktują życzliwie młodych, a nie powie nigdy punkom i reszcie — „słuchajcie, koledzy, jak się nie otworzycie w porę na kulturę dorosłych, to do końca życia pozostaniecie matołami”. Ktokolwiek śledzi działalność obrońców tolerancji zauważy, że mają oni zawsze swoje preferencje, które zmieniają się na fali mody. Ostatnio w modzie były akcje wsparcia dla chorych na Al DS jako ofiar nietolerancji; stwardnienie rozsiane czy choroba Alzheimera nie inspirują oczywiście nigdy koncertów rockowych, bo nie kojarzą się z żadną sprawą. Niedawno oznaką szlachetności było również wspieranie Kurdów mordowanych przez nietolerancyjnego Saddama Husajna, choć nieco wcześniej nie organizowano koncertów w celu zbierania środków na militarną interwencję w Iraku, bo byłby to przecież przejaw nietolerancji wobec kultury arabskiej. W Stanach Zjednoczonych można wylecieć z telewizji za żart o homoseksualistach, natomiast nie słyszałem, by ktoś miał jakiegokolwiek kłopoty z powodu publicznego opowiadania *Polishjokes*, czyli żartów o Polakach, takich jak kiedyś u nas opowiadano o milicjantach (na przykład: jak się nazywa czyrak na tyłku u Polaka? — guz mózgu). Nie znaczy oczywiście, że uznają takie żarty za karygodne i do głowy by mi nie przyszło potępić je jako przejaw nietolerancji.

Wszystko to tłumaczy, dlaczego nasi orędownicy tolerancji nie jawią się w powszechnym odbiorze jako apostołowie zgody. Są raczej odbierani, i słusznie, jako grupa równie antagonizująca swoimi poglądami jak, na przykład, „prawdziwi Polacy”. Zwolennicy tolerancji w sensie pierwszym, a więc według mnie właściwym, ogłaszali stan nieagresji między grupami wyznaniowymi, etnicznymi itd., zostawiając problem sporów i kontaktów wyłącznie jednostkom, licząc na twórczy wpływ indywidualnych cech ludzkich, takich jak dobre maniery, taktowność, krytycyzm, wiedza i tym podobne. Zwolennikom tolerancji w sensie drugim nie wystarczają ani stan fizycznej nieagresji, ani wiara w możliwości dogadywania się jednostek ze sobą. Dlatego proponują oni szeroki program kolektywnej reedukacji. Jak każdy program tego typu niesie on w sobie zagrożenia, których jego twórcy nie wydają się świadomi.